OPIEKUN
POLSKICH DZIECI.

Nr. 23. dnia 30. Grudnia 1867. **Rocznik I.**

Kazimierz Wielki.

Ostatni z domu Piastów Kazimierz III, od potomności mianem Wielkiego uczczony, wstąpił był na tron polski po ojcu swoim Władysławie Łokietku w r. 1333. — Był on jakoby zesłannikiem Opatrzności dla zagojenia ran zadanych krajowi już to przez poprzedni jego podział pomiędzy potomków Bolesława Krzywoustego, już też przez ciągłe wojny — to o sukcesyą tronu, to o granice rozmaitych dzielnic; — i dla przyprowadzenia kraju do stanu kwitnącego wewnątrz, a poszanowania zewnątrz.

Najpierwszą czynnością Kazimierza W. po wstąpieniu na tron, było zawarcie z sąsiedniemi państwami sojuszów czyli traktatów, pokój i zgodę przywracających lub utwierdzających, bez względu nawet na pewne ofiary. Pojmował to albowiem mądry król, że nie rozległość ziemi, ale dobry zarząd i wewnętrzy dobry byt kraju potęgę jego stanowią.

Z kolei zajął się Kazimierz W. uporządkowaniem i uzupełnieniem praw, z których jednę złożywszy całość, takowe nadał krajowi na wolnym sejmie Wiślickim w r. 1347. — Prawa te znane są do dziś dnia pod nazwą Statutu Wiślickiego — Obok tego zwracając uwagę na ówczasową niedolę stanu włościańskiego, wziął go pod szczególną swoją opiekę, a chcąc dobrym przykładem wpłynąć na szlachtę, nietylko że urządził wzorowo królewszczyzny, stanowiąc wójtostwa i sołtystwa, którychto urządzeń pozostały do dziś ślady w dobrym bycie i zamożności tamtejszych włościan, ale badając nadto osobiście potrzeby ludu, co mu nazwę króla chłopków zjednało, starał się przychodzić im w pomoc już to wpływem swoim na panów, już też stósowną radą lub zapomogą. — Pod jego też panowaniem rolnictwo najznakomiciej się rozwinęło.

Stan miast nie uszedł troskliwej uwagi tego monarchy: uposażył je odpowiedniemi potrzebie przywilejami i prawami, czuwał nad ich upiększeniem, nowe sam zakładał, wznosił wspaniałe świątynie i gmachy do publicznego użytku, nadto budował warowne zamki dla obrony granic, zgoła wszędzie czynna jego ręka była widoczną. Opiekował się także przemysłem i handlem, który pod panowaniem jego przyszedł do nieznanej mu dawniej świetności — a miasta wzrastały i upiększały się

w murowane domy i gmachy, czego najlepszy widzimy dowód w świadectwie historyi, przyznającej Kazimierzowi iż zastał Polskę drewnianą, a zostawił murowaną.

Kazimierz W. mieszkał zwykle w zamku Krakowskim, latem zaś we wsi Łobzowie, ćwierć mili od Krakowa odległej, gdzie piękny pałac wystawił. Ztamtąd to lubił często robić wycieczki do siół okolicznych, przebrany w suknie żebraka lub podróżnego, ażeby przekonywać się naocznie o powodzeniu, uczciwości i potrzebach swoich dzieci; bo tak nazywał ulubionych sobie kmiotków. Wycieczki te dawały pole do rozmaitych przygód, z których wam kochane dziatki jednę tu opowiem.

* * *

Pewnego jesiennego dnia wyszedł był król Kazimierz z pałacu Łobzowskiego na zwyczajną wycieczkę, przebrany w suknie żebracze. — Z południa dzień piękny, zaczął się pod wieczór zmieniać, puścił się zimny deszczyk i wiatr powstał ostry. Żebrak nasz pospieszał do wioski, ale nim do niej doszedł, zupełnie się prawie ściemniło. Przemokły więc i drżący od zimna chodził od chałupy do chałupy, prosząc o przytułek na noc, ale nadaremno, bo wszędzie odmówiono mu gościnności zatwardziałem sercem, a biedny żebrak widząc, że w całej wsi nie znajdzie duszy litościwej, któraby się zmiękczyła cierpieniem bliźniego, zamyślał puścić się jeszcze dalej przed nocą. Wychodząc z wioski spostrzegł na samym już jej końcu chatę, która była najmniejsza i najuboższa z całej włości. Zbliżywszy się do niej, zapukał do drzwi — gospodarz wyszedł i zapytał go, czego potrzebuje? — Umieram z zimna i głodu, odpowiedział dziadek, dlatego proszę was, żebyście przyjęli mnie na noc. — Ha! dobrze, odrzekł chłopek, biorąc go za rękę; ale niebardzo mój dziadku będzie wam wygodnie. zastaliście mnie w wielkim kłopocie; kobieta moja jest chora, stękanie jej i jęki spać wam nie dadzą całą noc. To mówiąc, wprowadził ubogiego do izby napełnionej dziećmi; w jednej kołysce spało ich dwoje, na wązkim piecyku spało dwóch chłopców i dziewczynka czteroletnia — a dwie starsze klęczały, modląc się za matkę, która leżała w komorze w ciągłych boleściach. Około niej siedziała babka i starzy rodzice gospodarza.

— „Zostańcie tu dziadku, rzekł poczciwy wieśniak, pójdę poszukać co na wieczerzę.“ — Wyszedł, i wkrótce powrócił niosąc kawał chleba razowego i trochę miodu prześnego — bo to wtedy więcej pszczół hodowano, i najuboższy kmiotek miał ich kilka pni, a ziemniaków ludzie nie znali jeszcze wcale. — „Oto, rzekł, wszystko co mamy, jedzcie w Imie Boże z mojemi dziewczętami, a ja pójdę do biednej mojej żony.“

„O bodajby miłosierdzie wasze ku mnie, gospodarzu, przyniosło wam Nieba jak największe szczęście i błogosławieństwo, rzekł mniemany dziadek, ale mam nadzieję że Bóg nagrodzi waszą miłość ku bliźniemu, z którym dzielicie się chętnie ostatnim kawałkiem chleba.

„Mój dziadku, odpowie chłopek, proście ino Pana Boga o wyzdrowienie mojej Hanki, bo tego najbardziej pragnę.“

„A więcej nic wam nie brakuje, — jesteście szczęśliwi?“ zapytał dziadek.

„A czemużbym nie był! choć to trochę i dużo mam dzieci, ale się zdrowo chowają, i już się razem z człowiekiem przyzwyczaiły do biedy. Mam żonę dobrą, rodziców jeszsze czerstwych — a moja praca wystarcza jakotako na wyżywienie ich wszystkich; — przytem nie cięży też człowiekowi nic złego na sumieniu, dzięki Bogu.“ To rzekłszy chłopek, odszedł do chorej żony, w godzinę zaś później wziąwszy nowo narodzone dziecię na ręce, przyniósł je pokazać dziadkowi, mówiąc: „Oto ósme dziecko, którem mnie Bóg darzy! — patrzcie dziadku! jakie duże i czerstwe.“

Dziadek wziąwszy dziecię na ręce, wpatrywał się w nie długo, potem rzekł z dobrotliwym uśmiechem: — „Znam ja się, gospodarzu na proroctwie — umiem czytać

przyszłości, — i mógłbym przysiądz na to, że dziecko to przyniesie wam wielką fortunę, bo ma twarz szczęśliwą.“

Chłopek roześmiał się na tę wróżbę dziadka, odniósł dziecko do matki, po czem przyniosłszy wiązkę słomy, rozesłał ją na ziemi, położył się sam i dziadka na toż posłanie zawezwał, — późniéj odwróciwszy się do ściany, zasnął smaczno.

W chatce głębokie panowało milczenie — dziadek nasz nie mógł zasnąć na twardem posłaniu, przyzwyczajony do miększej pościeli, lub może zaprzątniony myślami o szczęściu kraju i pomyślności swych poddanych. Z kolei myśl jego zatrzymała się i na ubogiej chacie, w której spoczywał — i na poczciwym gospodarzu, co mu tego schronienia tak życzliwie udzielił. — „Co za spokojność być musi w duszy tego poczciwego człowieka, kiedy tak smaczno zasnął — jeszcze nie opanowały jej żądze samolubstwa i chciwości — o mój dobry ludu! moi poczciwi kmiotkowie! dopóki idąc śladem ojców waszych przestawać będziecie na małem, na poczciwie choć krwawo zapracowanym kawałku — dopóki wiara w Boga — nadzieja w przyszłość i miłość bratnia w sercach waszych gościć będą. — I dobry król, klęknąwszy na posłaniu, zasłał gorące modły do Przedwiecznego za lud swój ukochany.

Tymczasem świtać zaczęło, a król Kazimierz ciągle udając żebraka, pożegnał litościwego kmiotka, i odchodząc tak mu powiedział: Idę prosto do Krakowa, tam znam pewnego dobroczynnego i miłosiernego pana, udam się do niego, i opowiem mu o waszej dla mnie litości i dobrem sercu — i prosić go będę, ażeby nowonarodzone wam dziecię trzymał do chrztu, — tylko przyrzeknijcie mi, że poczekacie na mnie z chrzcinami, a ja tu najdalej na południe przybędę.“— Chłopek niebardzo uwierzył obietnicy żebraka, jednak chcąc mu dogodzić, przystał na jego żądanie, i obiecał zaczekać, a dziadek wziąwszy kij, rzekł: „Zostańcie tu z Bogiem.“ i odszedł spiesznie.

A gdy południe już minęło, a dziadek nie powracał, chłopek powiedział do żony: „ot zwyczajnie obieżyświat jakiś — spodziewał się pewno, że jeszcze na odchodnem dostanie co odemnie. — Miły Boże! jak to człowiekowi zawsze dobre złem płacą! — ale mniejsza o to: Bóg widzi nasze chęci, nie dlategoć zresztą dajemy ubogiemu kawałek chleba, żeby nas za to czekała nagroda, ale jeno dlatego, że głodny — więc trzeba się z nim podzielić, bo tak Pan Jezus przykazał, jak to niedawno mówił ksiądz na kazaniu.

Tymczasem babka spowinęła dziecinę, zeszli się sąsiedzi i sąsiadki, z których nasz chłopek zaprosił najstarszych na rodziców chrzestnych, nie mogąc się doczekać obiecanego kuma z Krakowa, i już się zabierali razem do kościoła, gdy usłyszeli turkot wielki i spostrzegli przez okna jadące drogą przez wieś liczne bogate kolasy i ludzi na koniach. — Wszyscy wybiegli przed chałupę, przypatrzyć się świetnemu orszakowi, a w ostatku przyszedł i stary ojciec gospodarza od łoża synowej i spojrzawszy na jadących, zawołał: „oto nasz król gdzieś przejeżdża, to poczet jego samego, com go się nieraz napatrzył w Krakowie. — Zaledwie słów tych dokończył, wszystkie pojazdy zatrzymały się, oprócz najokazalszego z nich, który wyminąwszy inne, stanął tuż przed chatą naszego kmiotka. Trudno opisać podziwienie, które go przejęło, gdy bogato przybrani hajducy wysadzili z kolasy owego żebraka i gościa nocnego, w kosztowne przybranego szaty, który do niego w te słowa przemówił: „A cóż, poznałżeś we mnie twego dzisiejszego gościa, obdartego żebraka?... Obiecałem ci ojca chrzestnego, i dotrzymuję słowa; — weź dziecię — pojedziemy do kościoła.“

Wieśniak nie mogąc przyjść do siebie z zadziwienia, poglądał na króla z radością i bojaźnią razem — na okrywające go szaty, błyszczące kamienie i otaczający go świetny orszak dworzan. Trudno mu było uwierzyć własnym oczom, iż pod tym majestatem widzi tego samego nędzarza, z którym nocy minionej spał na jednej wiązce słomy. I trzeba było wyraźnego rozkazu monarchy, aby go nakłonić do zajęcia miejsca w kolasie, gdzie nie wiedział biedak jak usiąść w obec swego króla i pana.

Gdy już wyruszyli w drogę, przemówił król do wieśniaka w te słowa: „Wczoraj, mój przyjacielu, dopełniłeś względem mnie obowiązku chrześcijańskiego miłosierdzia i ludzkości, dowiodłeś, że miłujesz Boga i bliźniego, dzieląc się ze mną ubogą twoją

wieczerzą i twardem posłaniem; dzisiaj na mnie kolej wynagrodzenia twej cnoty!.. Zostawię cię w stanie twoim wieśniaczym, bo mu przynosisz chlubę, bo w innym nie byłbyś równie szczęśliwym i swobodnym, ale opatrzę cię we wszystko, czego ci nie dostaje, — w piękne bydło, trzodę, chatę wygodną i obszerną, ażebyś mógł łatwiej dopełniać obowiązków ludzkości i gościnności, które w sercu swem nosisz. Piorę, także pod moję opiekę dziecię, które się przy mnie narodziło, bo musisz pamiętać jeszcze, dodał z uśmiechem, co ci wróżyłem, że ono przyniesie ci szczęście."

Kmiotek uradowany i przejęty wdzięcznością, nie mógł słowa przemówić, łzami tylko dziękował dobremu królowi, niemniej od niego rozrzewnionemu. — Za przybyciem do kościoła, król wziął dziecię na ręce, i tak trzymał podczas całego świętego obrzędu, na którym nowo narodzonemu dziecięciu, dano na pamiątkę króla, imię Kazimierza. — Po chrzcie oddając dziecko ojcu, upomniał go, aby jak tylko chłopiec dorośnie przyniósł go na dwór jego.

Trzaska, tak się nazywał ubogi nasz włościanin, upojony radością, powrócił do mieszkania, i oddał chłopca matce z zaleceniem, iżby troskliwie pielęgnowała królewskiego pchrzestniaka. — I zdrowo chłopiec się chował, a gdy miał już siedm lat, ojciec zawiózł go własnym wózkiem i dobremi końmi na zamek królewski.

Król kazał małego Kazia wychować na swoim dworze, dawać mu nauki, a ojca nieprzestawał obsypywać dobrodziejstwami aż do śmierci. — Z dziecięcia tego wyrósł nai pożytek ludzkości, później sławny kaznodzieja, kanonik Kazimierz Trzaska

Tak więc pełniąc powinność chrześcijańską względem swego bliźniego, ubogi chłopek znalazł dobry byt i szczęście na tym jeszcze świecie; jakkolwiek wypadek podobnej nagrody zbyt jest rzadkim, każde jednak łzy wdzięczności głodnego, którego nakarmimy, obnażonego którego przyodziejemy, oraz wewnętrzne zadowolenie z wypełnienia dobrego czynu, dostateczną dla duszy litościwej stają się nagrodą.

O śmierci.

Kiedy każdego z nas mogło być nieraz życzeniem, żeby nigdy nie umierać — moralności nauczyciele z drugiej strony twierdzą, że natenczas nie byłoby końca nienawiści i niesnaskom, że ktoś niesprawiedliwie prześladowany nigdyby dla siebie pewnego nie znalazł spoczynku. Jakoż jeżeli obwiniamy naturę, że nas koniecznej poddała śmierci, obwiniamy ją nie mniej o to, że śmierć ta jest nam czasem pożądaną. Zamiast tak skąpego chwil szczęśliwych udziału, czemu raczej, mówimy, nie ochroniła ludzkości tak od tego ostatniego złego, jak od wszystkich je poprzedzających? — Są atoli, zdaje nam się, gruntowniejsze ku usprawiedliwieniu jej powody. Gdyby można żyć na wieki, łatwo sobie jeszcze wtenczas wyobrazić, że wszystkie trapiące nas zniknęłyby nieszczęścia; lecz niepodobna byłoby stworzyć rozkoszy, któreby się zgodziły z tym nowym rzeczy porządkiem. Jak tylkoby nie było śmierci, nie byłoby następstwa pokoleń. Te same zawsze istoty zapełniałyby ziemię; nie znanoby ani miłości, ani rodzicielskiej pieczołowitości, ani też synowskiego przywiązania. Słodkie nadzieje, czułe pamiątki, zachwycające rozkosze, wszystko toby zniknęło!... Tak każde uczucie, życiu ludzkiemu pewną nadające wartość, śmierci jedynie swój winno początek.

Przesądy nasze stawiają nam ją przed oczy w postaci straszliwego widma. Te czarne myśli, jakoby świat był tylko miejscem wygnania, że

na grób zawsze nam się oglądać potrzeba; ta dzika i towarzyskiemu porządkowi tak przeciwna nauka jest wynalazkiem tych, co wzgardę doczesnego świata jedynie dla tego w ludzi wmówić chcieli, by się sami wyłącznie tem łatwiej pocieszyć mogli. Mędrzec nie waży sobie bynajmniej lekce daru istnienia swego, i gdy uczy jak ma żyć, uczy się zarazem jak ma umierać.

Chcąc się wcześnie ze śmiercią oswoić, trzeba ku niej niekiedy swoją zwracać uwagę; lecz strzeżmy się za często wznawiać myśli, które i najstalsze umysły zasępić są zdolne. Równie pożyteczny, a mniej przykry sposób zwracania swej myśli ku tej ostatecznej chwili, polega na dokładnem rozważaniu, o ile śmierć na życie wpływać powinna. Ten niewiadomy, lecz bliski kres winien podwoić przywiązanie nasze do miłych nam osób, obowiązki nasze świętszemi, rozkosze żywszemi jeszcze uczynić. Mędrzec widząc, jak szybkim czas ubiega lotem, te właśnie pomysły, które gminu zatruwają spokojność, na uprzyjemnienie chwil swoich skwapliwie chwyta i obraca. — Ten co mówi: śmierć jest niczem, chce poniekąd odważnego udawać; jednakże szczerą on tylko mówi prawdę. Śmierć jest chwilą, której żadnej miary czasu dać niepodobna; lub jeszcze nie nadeszła — lub też jej już nie ma. — Poprzedzające ją wypadki mogą być wprawdzie okropne i nagła śmierć najmniej nas powinnaby kosztować. Mówią czasem o zmarłym: trzy dni tylko cierpiał.... Jakże się ten przeciąg czasu długi staje temu, co w boleściach minuty liczy. Po stracie ukochanej osoby, myśl ta, że nie widziała zbliżającej się śmierci i bez bolu zgasła, mogłaby być niejaką dla nas pociechą.

Wszyscy bowiem lekarze uczynili to spostrzeżenie, iż cnotliwego człowieka skon nie jest ciężki. Może nawet fałszywe czynimy sobie wyobrażenie o ostatnich życia chwilach; powszechnie ci, co się łatwo wszystkiem straszą, sądzą, że wszelkiego rodzaju męki i cierpienia towarzyszą ostatniemu duszy z ciałem rozstaniu; lecz owszem podobniejszą jest do prawdy rzeczą, iż do wiecznego zbliżając się spoczynku, doznajemy uczucia podobnego temu, jakiego doznaje człowiek znużony, kiedy w zupełnej ciszy i spokojności sen mu słodko zawiera powieki. — Prawda, że uczucie to w ostatnich dopiero przychodzi chwilach, a okropne choroby, cierpienia, poprzedzić je mogą; lecz zdaje się, iż natura zawsze łagodzące obmyśla środki, ile tylko razy złe jakie na człowieka zsyła. Pomiędzy śmiertelnemi chorobami te, które są bolesne, prędko się kończą, te zaś, które dłużej trwają, mniej są dotkliwemi; zostawiają dosyć czasu, aby przywyknąć do tej myśli, iż się z życiem rozstać trzeba, i często ludzie, którzy w ten sposób z niem się rozstają, kończą pośród smętnych marzeń filozoficznych, już to poddając się rozporządzeniom najwyższej woli, już też krzepiąc się nadzieją.

Przykrym nader widokiem jest osoba młoda, piersiową dotknięta chorobą Zupełna niebezpieczeństwa niewiadomość, może jej aż do ostatniej towarzyszyć chwili Wszyscy wiedzą, że zimy nieprzeżyje, a ona układa projekta, które za powrotem do zdrowia i nadejściem wiosny

uskutecznić zamierza. Jej stan zdrowia i jej nadzieje, jej słodka wesołość przy tak widocznych śmierci oznakach, to wszystko tak z sobą sprzeczne, boleśnie serce rani; każdy o nią się troszczy, ona sama spokojna. Natura, chcąc się niejako z tego uniewinnić, iż ją tak młodą światu porywa, użycza jej błogiego spokoju, usypia na ziemi i w niebie dopiero ocuca.

Przykre wrażenia, jakie śmierć na umyśle sprawia, nietyle może pochodzi z towarzyszących jej fizycznych cierpień, jak bardziej z przywiązania, jakie mamy do wszystkiego tego, co na ziemi pozostawiać musimy. Wzgardy naszej godzien tylko ten, co niepowściągniętą opanowany dumą, mówi nam w chwili rozstania się ze światem, że właśnie w głowie swej układał plany, że po ich wykonaniu spokojnie resztę dni swoich spędzić zamierzał. Takiego w ciągłem za marnościami świata ubieganiu się, śmierć zawszeby niespodzianie zaskoczyła. — Drugi znowu ubolewa nad tem, że go śmierć z łona rozkoszy porywa. Ten nie chciał o tem pamiętać, jak szybko szczęśliwe znikają chwile, nie powtarzał sobie dosyć często, że długo w posiadaniu ich pozostać nie może. Lecz kiedy kto ani dla żadnych dumnych widoków, ani też dla błahej i znikomej rozkoszy, lecz jedynie dla dobra dzieci swych żyć jeszcze dłużej pragnie: w takiem zapewnie położeniu śmierć jest okropna. — Jest pewien wiek, gdzieby umierać nikt niepowinien. Zaczyna on się dla człowieka, kiedy ojcem zostaje, a kończy się wtenczas, kiedy przestaje być potrzebnym swej rodzinie.

Jeżeli wcześniej umierać przychodzi, natenczas wszelka pociecha jest na kształt tych lekarstw, co umierającemu wprawdzie niejaką przynoszą ulgę, lecz go uratować nie mogą. Nie sądźmy przecież tak źle o Opatrzności, iżby mogło być położenie, w któremby człowiek prawy jakowej dla siebie nie znalazł osłody. Kończąc życie, któreby pragnął jeszcze dla szczęścia drugich zachować, krzepi się tą myślą, iż winien z siebie dać przykład odwagi, właściwej ludziom cnotliwym, utwierdza się nadzieją życia wiecznego.

Śmierć jest zapewne nierównie przykrzejsza wtenczas, kiedy przedwcześnie najczulsze przychodzi zrywać związki. Później jest ona wypadkiem tak prostym, jak wszystkie inne życia ludzkiego. Niestety! jak tylko dłużej cokolwiek żyjemy, najmilsze z przed oczu naszych znikają istoty; wkrótce mniej ich tu będzie, więcej na tamtym świecie. Przy takim rodziny rozdziale, obojętną staje się już rzeczą z obecnymi tu pozostać przyjaciołmi, lub też się z nieobecnemi połączyć.

Dzieci nasze od nas potrzebują pomocy; jesteśmy nakształt podróżnego, co ma sobie polecone ważne sprawy i za niemi jeździ, jak tylko piecza staje im się nie potrzebna; podobni znowu natenczas jesteśmy do podróżującego, co dowolnie swą może odbywać podróż, i tam się zatrzymać, gdzie zachodzące przed sobą ujrzy słońce.

Jeżeli człowieka w dalekie jadącego strony nie poważamy się o słabość obwiniać, gdy z drugiemi żegnając się osobami, rzewnym

przejęty jest żalem, jakże mamy więcej wymagać od tego. którego śmierć w nieznany mu zupełnie świat prowadzić przychodzi?

W tak stanowczej i ważnej dla człowieka chwili, nie myślmy bynajmniej surowej na siebie przybierać odwagi; lecz spodziewajmy się, iż zachowamy dosyć spokojności umysłu, aby ulubionym sercu naszemu istotom dać uczuć, że nieodzownemu dla wszystkich prawu uledz potrzeba, że narzekanie byłoby daremnem, szemranie nieusłusznem, że z niejakiem rozrzewnieniem, lecz pewnem najwyższej woli poddaniem się — należy się uściskać i powiedzieć sobie: „tam się zobaczymy:“

Dzień nowego roku.

Astronomja i zniej wypływające nauki, a między innemi i podział czasu, znane były już starożytnym ludom: tak Żydzi i Cłaldejczycy zaczynali rok od marca, Egipcyanie od września, Grecy od grudnia, a Rzymianie od 1go stycznia. A że wtym dniu — ósmym od narodzenia się Chrystusa Pana, tenże poddając się prawu mojżeszowemu przy obrzeżaniu swojem wziął imie Jezus, co znaczy Zbawiciel, przeto zwyczaj Rzymian — jako najzgodniejszy z tą wielką pamiątką, przyjęły później wszystkie narody chrześciańskie.

Jedynie kościół grecki odszedł od tej reguły i różni się od innych narodów 12ma dniami. Dzieje wskazuja tego zrzyczynę: w roku 45 przed narodzeniem Chrystusa, cesarz rzymski Juliusz Cesar zaprowadził poprawę kalendarza, ustanawiając, aby rok cywilny zgodnie z rokiem słonecznym miał dni 365 i 6 godzin: ce czwarty rok przybywał dzień jeden między 23 i 24 lutym. — Ale postrzegli astronomowie, że taki rok juliański był za wielkl o 11 minut, dla których w XVI. wieku już dziesięcioma dniami wyprzedzał porównanie dnia z nocą. Z tego względu Grzegorz XIII. papież w r. 1582 dziesięć dni w październiku (od 5. do 15.) opuścić rozkazał, co cztery lata dzień przybyszowy w lutym zostawił, wyłączywszy rok 1700, 1800, 1900, które miały być latami zwyczajnemi. Chsześciańskie narody wszystkie, katolicy i protestanci przyjęły tak słuszną odmianę kalendarza, kościół tylko grecki trzyma się starego juliańskiego kaleudarza, czyli jak mówią starego stylu, a gdy rok 1700 i 1800 rokiem przybyszowym uczyniono, różni się przeto od innych 12ma dniami, od roku 1900 zaś będzie się różnić o dni 13.

Nowy rok jest jedyne święto, które wszystkie ludy na całym okręgu ziemi zarówno obchodzą, ponieważ takowe ani ich wiara, ani ich dzieje, lecz bieg ciał niebieskich oznacza, albowiem dzisiejsze porównanie dnia z nocą jest początkiem nowego natury życia — że ów dobroczynny krąg ognisty, co przyrodzeniu życie wskrzesza, zaczął się zbliżać do nas z niedowierzonej odległości swojej, i ztądto zdaje się stosowniej do natury rzeczy, pierwsze zbliżenie się słońca obchodzić jako nastanie nowego roku, to jest ewą pełną tajemnicy chwilę, w której ziemia nasza krążąc w największej odległości od swojego życiodawcy, znowu się ku tej ożywiającej ją kuli nieznacznie zbliża.



Obraz Bogarodzicy Marji,

malowany przez św. Łukasza ewangelistę.

Wiele świątyń katolickich szczyci się posiadaniem obrazu, mającego przedstawiać prawdziwe oblicze Bogarodzicy Marji, który miał być malowany przez św. Łukasza. –Za jedyny i najdawniejszy w świecie chrześcijańskim uważany jest obraz w kościele Santa Marja Maggiore w Rzymie, któren według zapisków kościelnych dostał się z Jerozolimy do Konstantynopola, a ztamtąd do Rzymu (w r. 432), gdzie dotąd się znajduje w wielkiem poszanowaniu. Zdaje się, że inne wsławione obrazy Marji Panny są kopiami tegoż — zdjętemi już to w Konstantynopolu lub w Rzymie, albowiem trudno przypuścić, aby św. Łukasz przy swem zajęciu apostołowania mógł tak wiele obrazów malować.

Obraz pędzla św. Łukasza przedstawia Marję z Zbawicielem na rękach, jako matronę wieku średniego, oblicza słodkiego i wielce ujmującego, w okryciu z dwóch sukni koloru niebieskiego i czerwonego.

Według podania apostolskiego, św. Łukasz przy znawstwie malarstwa zajmował się także doktorstwem. Urodzony w Antyochii i przez św. Pawła nawrócony, został tegoż nierozdzielnym towarzyszem. Niewiedzieć atoli, jakiej on był narodowości — czy żydowskiej, czy greckiej. Przeciw pierwszemu mówi argument, że jako żyd nie mógł posiadać wiedzę sztuki malarskiej, ponieważ żydom nie wolno było zajmywać się tą sztuką, i nie ma też przykładu, żeby żyd był kiedy malarzem; za drugiem zaś przemawia okoliczność, że św. Łukasz jako greczyn — poganin przyjąwszy chrześcijaństwo, odbył pielgrzymkę do Jerozolimy, ażeby Bogarodzicę Marję widzieć i święte słowa z jej ust zasłyszeć. Podczas tej jego tamże bytności, odmalował on też Marję — i ten to obraz jego ma być wiernem i prawdziwem wyobrażeniem Matki Bożej.

Jan Kochanowski.

Obacz popiersie w Nrze. 10.

Kto się w opiekę poda Panu swemu,
A całem sercem szczerze ufa Jemu,
Śmiele rzec może, mam obrońcę Boga,
Nie przyjdzie na mnie żadna straszna trwoga.

Już temu lat blisko trzysta, jak przestało bić to pobożne, ufne serce, z którego ta pieśń się wysnuła. I jakąż moc, co za osobliwy urok ma w sobie ta pieśń serdeczna, że każdemu do serca tak przylega, i w pamięci ma zawsze

pozostaje. — Choć legł w grobie ten, co ją wyśpiewał, choć setki lat przejdą nad jego mogiłą, to po setkach lat, odgłos tej pieśni rozlegać się będzie. I rozlega się ona u nas, jak Polska długa i szeroka. Dawniej, czy to możny pan z licznym orszakiem puszczał się w drogę, czy szlachcic we dworku zebrawszy dziatwę i czeladkę, klękał do porannej lub wieczornej modlitwy, czy rzemieślnik stawał do dziennej pracy, czy kmieć z pługiem na rolę spieszył, każdy z tą pieśnią oddawał się w opiekę Panu swemu, ufając, że go nie dotknie żadna zła przygoda, „ani się znajdzie w domu jego szkoda.“ A kiedy rycerz szedł na wojnę, to szedł z tą pieśnią, nie dbając na trwogę, ani na strzały, któremi sieje przygoda w dzień biały. Wiedział, że gdy osłoniony skrzydłem Bożej opieki, to go nie dosięże miecz nieprzyjacielski.

I któż to był taki, co tego dokonał? Co to był za człowiek, o którym trzysta lat nie zapomniano.

Był to człowiek, co miał serce bardzo poczciwe. Serca tego doświadczał Bóg różnie, szczęściem i cierpieniami, a zawsze pozostało ono prawe i czyste. Człowiek ten nazywał się J a n K o c h a n o w s k i.

Trzysta lat temu, wszystko inaczej wyglądało; insze czasy, insze dzieje, insi ludzie. Czasy, na które patrzył Jan Kochanowski, były to czasy pomyślności i wojennej chwały. Ludzie, których znał, byli to nasi królowie: Zygmunt Stary, Zygmunt August, Stefan Batory; byli wielcy hetmani Tarnowski, Zamojski; byli zasłużeni pisarze: Rej z Nagłowic, Sebastjan Klonowicz i inni. Wśród takich to mężów dobił się sławy Jan Kochanowski, sławą swoją wielu z nich przewyższył, jakoż oni sami k s i ą ż ę c i e m p o e t ó w go nazwali.

Jan Kochanowski urodził się w wiosce Sycynie w Sandomierskiem, własności jego ojca, który umierając za wcześnie, zostawił kilkoro dziatek niezaopatrzonych. Najstarszym z rodzeństwa tego był Kasper; temu przypadła opieka nad młodszymi braćmi; jakoż po ojcowsku zajął się Janem, i starał się najusilniej braciszka obdarzyć skarbem, jaki być może na świecie najdroższym, to jest nauką. W miejscowej szkółce pobierał Jan pierwsze nauki. Później miał domowego nauczyciela, ale brat, co tak wiele dla Janka pragnął, i wiele sobie po nim obiecywał, nie dał mu pozostać na tej domowej nauce. Wysłał go więc na dwór hetmana Tarnowskiego, żeby się tam sprawom krajowym przypatrywał, a jeźli się sposobność nadarzy, i do oręża wprawił; słowem żeby przy boku hetmana równie dzielnego do szabli, jak mądrego do rady, nauczył się czem, i jak krajowi służyć, jak ojczyzny być światłym i zacnym obywatelem. O Tarnowskiego ocierało się wtedy wszystko, co ważniejszego w Polsce zaszło. Dwór jego był doskonałą szkołą dla młodzieży, co się do posług obywatelskich sposobiła. To też nasz Jan nie małe z niej odniósł korzyści. Starszy brat upatrując w nim powołanie do stanu duchownego, przemógł się nad możność swoją prawie i oddał go do akademii, krakowskiej, a później wysłał za granicę do Francji i Włoch, których stolice słynęły wówczas z mistrzów, tj. ludzi uczonych we wszelkich umiejętnościach. Wielu z nich poznał nasz młody ziomek, i sam w śród nich dał się poznać z nauki, a nadewszystko z pieśni, które zwyczajem tamtych wieków po łacinie układał. Nim powrócił pod rodzicielską strzechę, już imie jego głośno zasłynęło w ojczyznie. Czekały go też za powrotem nie małe zaszczyty. Na tronie polskim królował wówczas Zygmunt August; — zawezwał król zaraz Jana do swego boku, mianując go swoim sekretarzem; później ofiarował mu wyższe godności, a nawet kasztelanją, o którą się wielu zacnych panów dobijało. Nie przypadało to jednak do serca poecie naszemu; niesmakował bowiem w dworskiem życiu — a nie przyjął kasztelanji, bo jak się wysłowił: „nie chciał, żeby kasztelan to roztrwonił, co Kochanowski zbierze.“ — Podziękowawszy królowi za względy wyjechał na wieś. Przypadła mu w dziedzictwie mała wioska Czarnylas zwana tę przeniósł nad wszystkie dostojeństwa i bogate dochody. Tam pojął za żonę niewiastę uczciwą, siostrę najlepszego swego przyjaciela, i odtąd już roli i piór

pilnował. Jedyną godność jaką przyjął, była godność wojskiego sandomierskiego, która na niego wkładała obowiązek czuwania nad żonami, dziećmi i chudobą sąsiadów, gdy ci szli na wojnę.

W tej wiosce swojej zbudował Kochanowski domek, na którym napisaną była ta piękna modlitwa:

Panie! to moja praca, a zdarzenie Twoje,
Raczysz błogosławieństwa dać do końca swoje,
Inni niechaj pałace marmurowe mają,
I szczerem złotogłowiem ściany obijają.
Ja Panie niechaj mieszkam w tem gnieździe ojczystem,
Ty mnie zdrowiem opatrz i sumieniem czystem,
Pożywieniem uczciwem, ludzką życzliwością,
Obyczajami znośnemi, nie przykrą starością.

Przed tym domkiem w podwórzu, stała bujna wielka cienista lipa. Pod jej cieniem najwięcej lubił zasiadać Kochanowski: tam najpiękniejsze pieśni układał lub z gośćmi poważną zabawiał się rozmową. Głośny w całym kraju śpiewak siedząc w cichem ustroniu, od znakomitych swego czasu mężów częste odbierał nawiedziny — zjeżdżał bowiem hetman, biskupi i ludzie rycerskiej sławy albo głośnego w naukach imienia.

Po kilkunastu latach spokojnego pożycia, przyszły atoli na jego duszę twarde doświadczenia. Serce pod ciężkim ciosem, jaki w nie ugodził, zanurzyło się w boleści; utulił je i uciszył jedynie ten Bóg, którego szukało od dzieciństwa, którego wielbiło z uniesieniem młodzieńczem. Miał Kochanowski kilkoro dziatek, najmłodsze z nich Urszulka cudownem była dziecięciem. Nad wszelki obyczaj dziecinny pobożne, pojętne, kochające, było podziwieniem wszystkich, a ojca największą rozkoszą. Ledwie umiała wymawiać wyrazy, już składała piosneczki; słowa zdumiewające mądrością wychodziły z jej ustek, a uśmiech jej jak słonko przyświecał w ścianach rodzicielskiego domku. Ojciec rokował sobie, że ta ucieszna jego śpiewaczka kiedyś pieśniami swemi wszystko przewyższy, co kto dotąd wyśpiewał, że własna jego sława przy niej zgaśnie, że ona wypowie to, co jeszcze w jego sercu niewypowiedzianego zostało. Śmierć przerwała te wszystkie nadzieje. Trzech lat niemiała jeszcze ta pociecha, chluba, radość ojcowskiego serca, ta piękna dziecina, kiedy jej duszyczka anielska uleciała do nieba. — Zgon jej i nieutulony żal, strapiony ojciec opisał w smutnej pieśni, a tak rzewnej, że chyba kamienne byłoby serce, co by się nie rozrzewniło. Nie długo też potem gościł na świecie osierocony ojciec; — a w tym krótkim czasie, jeszcze jeden cios go spotkał. Brat jego żony, Podlodowski, był koniuszym króla Stefana Batorego. Pojechał on do Turcji dla kupna koni do królewskiej stajni. W przejeździe Podlodowski został przez Turków zrabowany i zamordowany haniebnie. Słudzy uszli śmierci i przywieźli smutną tę wiadomość Kochanowskiemu. Zniósł on mężnie boleść, ale sprawiedliwości za gwałt i morderstwo dochodzić postanowił. Właśnie odbywał się sąd czyli trybunał w Lublinie, i król był na nim obecny, Kochanowski osobiście stawić się umyślił i przemówić w sprawie zabitego szwagra. Kiedy wszedł na posłuchanie, tak gwałtowne wzruszenie go ogarnęło, że padł rażony silnem uderzeniem krwi (apopleksją) i w boleści ducha Bogu oddał.

Kogut.



Znane są powszechnie koguty; chowane najwięcej po wsiach; są daleko okazalsze od kury, przytem odważne i mężne. W Anglii przeto układają tego ptaka do walki pomiędzy sobą, uzbrajając ich nawet w tym celu żelaznemi ostrogami. Grzebień na głowie albo potężny pioropusz, jako też i sierpowate pióra w ogonie, nadają mu piękną postać, przytem i połysk pierza daleko jest piękniejszy, jak każdego innego ptaka domowego. Pierze koguta ma tę własność, że uderzony weń z przodu śrót od strzału z fuzyi, nieprzeszywa go, lecz odbija się a raczej zsuwa na ziemię bez uszkodzenia ptaka. Kogut pieje często, już to we dnie na odmianę powietrza, już to w nocy — zwiastując północ i poranek; dla tego też ludzie po wsiach nie posiadający zegarów, lubią chować koguty, bo ich budzą do pracy.

Objaśnienie niektórych wyrazów (C. d.)

Materja; wyraz ten znaczy rzecz jedną, z której się wyrabia rzecz druga. Przysposobienie czegoś na coś, zowie się materją: np. cegła, wapno, kamienie, materja a raczej materjał na dom; sukno, płótno, jedwab, materja na odzienie. Przygotowanie myśli i dowodów jest materją do wykazania jakiej prawdy lub zdania. Słowem: materia znaczy czasem to, co to teraz nazywają *treścią*.

Dobre albo **dobrze** są wyrazy podobne w znaczeniu, jednakże bardzo się różnią od siebie, ponieważ z pojedyńczej rzeczy *dobry* nie można jeszcze wnosić, że już wszystko będzie dobre. Serce dobre, a głowa bez rozsądku, nie potrafi dobrze sprawować urzędu. Trzeba więc nie tylko znać, co jest złe a co dobre, ale i samo *dobre* należy uważać dokładnie, aby było wystarczające w swojej dobroci na to, aby zupełnie działać potrafiło.

Rady dla kochanych dzieci.

Na nagniotki wielce jest skutecznym czosnek, którego ząbek upieczony w żarzącym popiele, przykłada się do nagniotka przed udaniem się na spoczynek. Czosnek zmiękczy narość nagniotka tak dalece, że ta po dwóch lub trzech dniach tego postępowania da się wyrwać najzupełniej, poczem należy tylko wymoczyć nogi w letniej wodzie.

Czernidło na buty może mieć każdy w domu — bez potrzeby kupowania onego, a nieraz i takiego, co pali skórę. Wtym celu bierze się pół kwarty piwa, paczkę sadzy (kinrusu) albo kości upalonych na proszek, szczyptę wosku i za kilka krajcarów ordynaryjnego cukru (melasy), co wszystko razem daje się do garnka i przystawia do ognia dla należytego zagotowania i czernidło gotowe. Tak sporządzone czernidło rozsmaruje się jak zwykle na buty, poczem rozsmarowuje miękką szczotką, a następnie użyje twardszej dla wysuszenia i wypolerowania czernidła, aż da pożądany odblask.

Sposób pisania złotemi literami nie jest trudnym; w tym celu przyrządza się kompozycę: bierze się guma arabska najlepsza i najbielsza utłuczona w moździerzu na proszek najsubtelniejszy, ten rozpuszcza się najprzód tęgą wódką, a potem odrobiną czystej wody, aby kompozycya była cieklejszą. Teraz bierze się złoto sprzedawane w materyalnych sklepach w muszlach, rozciera go na proszek i zwilżywszy zwyż wyrażoną kompozycyę umiesza palcem albo pęzlem i zostawi przez noc stać, ażeby się złoto lepiej rozpuściło. Gdyby się takowe zeschło, to należy go nazajutrz rozpuścić odrobiną gumowej wody, w której namoczono parę piórek szafranu. Tą kompozycją pisze się jak atramentem, po wyschnięciu zaś wygładza pismo kością, od czego nabiera większego połysku.

Znaczenie zagadki zawartej w nr. 23 „Opiekuna“ List.

Z tym numerem kończymy półrocze 1867 „Opiekuna“. — Jak to zadanie wypełniliśmy, sąd nie do nas należy. Zachęceni jednak przez szanownych Ziomków, tem chętniej przystępujemy do dalszej pracy, — pragniemy bowiem przyjść w pomoc troskliwym o wychowanie młodego pokolenia rodzicom i nauczycielom. Przy współudziale mężów nauki i pracy, staraliśmy się w tem pisemku nadewszystko podawać przykłady dobrych obyczajów, które są podstawą domowego szczęścia. Przytaczaliśmy życiorysy ludzi znakomitych, oswajaliśmy kochaną dziatwę z naukami przyrodniczemi, i kształciliśmy serca i uczucia przez zamieszczanie moralnych powiastek i poezyjek. Jeżeli nie dość jeszcze zadanie przedsięwzięte wypełniliśmy, to już nie wina nasza, ale tych, co się obojętnie na tę pracę zapatrują. Tuszymy jednak, że przy nieustającej wytrwałości znajdziemy uznanie naszych usiłowań, jakoż staraniem będzie zaprowadzić w tem pisemku coraz to nowe i pożyteczne ulepszenia, w miarę potrzeby dorastających pierwszych jego czytelników — ażeby z czasem „Opiekun“ mógł się stać niezbędną książką dla rodzin po kich.

Zapraszamy tedy życzliwych Rodaków do wczesnego zamówienia tego pisemka — by według liczby abonentów nakład zastósować, niemniej o rozpowszechnienie onego w okolicach, w których nie jest jeszcze znany.

Przejęci wdzięcznością, wyrażamy przy tej sposobności gorącą podziękę szanownym mężom, którzy uznając cel i pożytek naszego pisemka, raczyli się zająć rozwojem jego—rozpowszechniając „Opiekuna“ w swej okolicy, gdzie się od razu przyjął w domach obywatelskich, w szkółkach ludowych, a nawet pod strzechą kmiotków— mianowicie: pp. X. Figwarowi w Tarnowie, Bobrowskiemu w Załoscach, Nabielakowi w Żółkwi, X. Kowalikowi w Zakliczynie, Klimeckiemu w Stryju, i X. katechecie w Jarosławiu.

Przedpłata na „Opiekuna“ na pocztach krajowych, wynosi jak dawniej: półrocznie 1 złr. 50 kr., albo całorocznie 3 złr.; w W. Księztwie Poznańskiem i w Prusiech zachodnich zaś: całorocznie 2 tal., albo półrocznie 1 talar.

I. Tom „Opiekuna“ z r. 1867, można nabyć w redakcji za cenę 1 złr.

Wydawca i odpow. redaktor: **H. Stupnicki.** Czcionkami M. F. Poremby.